WSPOMNIENIE *(1905-1988)*

Zofia Małynicz

...Czym jest wielkość?
Zapytał zdolny, mądry i skromny.
Jest tym, co w tobie zapytać kazało.

W czasach upadku wartości, kiedy prawdziwie wielcy jawią się jako patroni ulic, sal wykładowych lub zerkają z szarych pomników, myślę o Zofii Małynicz, wielkiej damie polskiego teatru. Spotkał mnie zaszczyt dopuszczenia do Jej prywatności. Znam ciepło domu przy Filareckiej, pamiętam książki i fotografie, poznałam wiele kochanych przez Nią osób. Nie było w tym domu zdjęć teatralnych, czyli świadectwa sukcesów, a Gospodyni nie demonstrowała niczego, co mogłoby wynikać z zaszczytów, tytułów, koligacji, nagród, zasług. „Przede wszystkim jestem człowiekiem, potem aktorką" – mawiała.

Pani fiołkowa, acz nie filigranowa. Jej kapelusze udawały motyla fruwającego nad poezją. Umiała selekcjonować wartości i służyła sprawom naprawdę ważnym. Teatr był powietrzem Zofii i tak bardzo zapamiętała się w oddychaniu nim, że zabrakło miejsca na sprawy osobiste, na założenie rodziny. Wybrała zakon zwany teatrem. Wybranej sztuce służyła najwierniej.

Miała godnych Siebie przyjaciół. Ks. Jan Twardowski, który w poświęconym Jej wierszu pisał, „że się za mało kochało... że się już nie zdążyło... że było za późno", Anna Kamieńska, wielka poetka, Maria Pelcowa, mądra i bliska jak rodzona siostra, Danuta Nagórna, aktorka, wychowanka, córka z wyboru i matka wnucząt z wyboru, śliczna i kochająca Zofię do końca. Maria Grzegorzewska, podziwiana za mądrość, bliska po ludzku, państwo Timoszewiczowie, wierni pamięcią do dziś, tak jak pani Drozdowska, profesorostwo Korzeniewscy, Jerzy Stempowski, pisarz emigracyjny, i ktoś o imieniu Józef, którego uczucie nie poddało się czasowi. Wielu, wielu ludzi, których nie sposób wymienić.

Zofia Małynicz umiała uszanować każdego, kto życiem dawał świadectwo prawości i rozumu. Nie wierzyła powierzchownym, nadętym. Autorytet widziała w sile charakteru i rzetelności wobec innych.

Jej ukochany dom był w Warszawie. Tu mogła odpoczywać, konstruować rolę, cieszyć się obecnością przyjaciół, walczyć ze słabością, przekomarzać się z gosposią Stefunią, tu patrzył na Nią pan z portretu, ten, który przegrał z teatrem i Warszawą i musiał pozostać sam w Szwajcarii.

Bogdan Korzeniewski napisał o Zofii: „Można by podać najbardziej istotną cechę Jej sztuki. To była powaga". Sierpiński napisał, że grała „uroczyście" i to określenie podoba mi się bardzo. 40 lat służyła scenie: w Reducie Osterwy, z Zelwerowiczem w Wilnie. Potem była już epoka Teatru Polskiego. Zofia współtworzyła scenę przy Karasia 2, oddała jej serce i całą swą wrażliwość. Umiała jak mało kto nadać rolom siłę swej osobowości, a wielkość charakteru potwierdzała zwykłą ludzką dobrocią i solidarnością wobec innych, słabszych. W 1954 roku broniła studentów przed politycznymi atakami stalinowskich pachołków, a w 1968 służyła wsparciem rodzinom żydowskim. Nie poddawała się presji tchórzliwych i zniewolonych, miała poczucie sprawiedliwości i przemyślane zdanie. Bezgranicznie kochała matkę. Wysoko ceniła każdą, nawet najmniejszą pomoc w walce z jej chorobą i starością.

Wielka Małynicz (tak mówili o Niej kandydaci do zawodu aktora) uczyła aktorstwa przez 30 lat, od 1954. W Krakowie „wyhodowała" m.in. Mikołajską, Stebnicką, Szczepkowskiego, Krafftównę, Łomnickiego, Pawlika, Adamskiego. Ten ostatni napisał o swej mistrzyni: „Nigdy nie podnosiła głosu. Nie narzucała form interpretacyjnych... Treść i formę wiersza cierpliwie i z taktem wydobywała z ucznia, mówiąc mu dokładnie, o co w tej czy innej strofie chodzi. Uczyła pokory i skromności". Potem były lata na Miodowej. Wokół Zofii ludzie stawali się lepsi, mądrzejsi. Asystenci wyrastali na profesorów, a często stawali się przyjaciółmi (Hanin, Dąbrowski). Wychowała Zofię Mrozowską i Andrzeja Łapickiego.

Zmierzyła się ze wszystkimi formami działalności aktorskiej. Sięgała do najwspanialszej literatury. Jej Norwid ożywał szlachetnym blaskiem. Dzięki Niej wszyscy zobaczyli skromną sutannę księdza Twardowskiego, tego od mądrych wierszy. Umiała też wykonać coś szczególnego – „Pieśń nad pieśniami" w hebrajskim studio, gdzie słuchacze mówili tylko po hebrajsku.

Zofia lubiła być widzem na dobrym przedstawieniu kolegów. Pamiętam, kiedy zabrała mnie do Teatru Małego na „Miesiąc na wsi" Turgieniewa. Czuła się emocjonalnie związana ze swym teatralnym światem.

W 1975 odeszła z uczelni przy Miodowej. Emerytura. Jako wyjątkowo zasłużona otrzymała rentę specjalną. Wniosek o jej przyznanie wystosował ówczesny prorektor Tadeusz Łomnicki. Zawarł w nim całą kwintesencję zasług Zofii Małynicz na rzecz edukacji i w ogóle działania dla jakości i historii polskiej sztuki aktorskiej. Wspomina też o ludziach, których wyniosła na wyżyny sztuki. Jeden z największych aktorów polskich pisze z dumą: „Należę do generacji, która pierwsze kroki stawiała pod kierunkiem Zofii Małynicz... To Jej ja i moi koledzy zawdzięczamy swoją pracę i twórczość dla teatru w naszym kraju".

Zofia Małynicz była zawsze blisko polskich ważnych dziejowych spraw, chociaż nigdy nie rwała się do polityki. Był to po prostu zdewaluowany dziś patriotyzm. Z przerażeniem obserwowała ubeckie bezeceństwa. Sekundowała KOR-owi i całej opozycji. W gronie przyjaciół znana jest historia, jak ubecy gonili Adama Michnika koło Jej domu. Uciekający krzyknął do Niej, żeby zawiadomiła, kogo należy. I zawiadomiła. Przeżywała stan wojenny, dramat zbrodni dokonanej na ks. Jerzym Popiełuszce.

Spokój odnajdywała w Supraślu. Odpoczywała w kolorach i zapachu jego lasów. Obmyślała tam nowe pomysły poetyckich koncertów. Jak mało kto znała wartość wiersza, mogłaby śmiało zasiadać w najgodniejszych gremiach konkursów poetyckich. Była „smakoszem" wiersza, delektowała się jego materią metaforyczną.

Dumna Bernarda Alba, uczciwa i dzielna Krystyna Linde, Rollisonowa z najgodniejszą rozpaczą polskiej matki, Klitajmestra wielka i okrutna – grała wiele ról, a zaczęło się od Norwida i jego „Wandy". Norwid został w Zofii jako prawo, obowiązek i radość, na całe życie. Punktualna, obowiązkowa, niezawodna, wiedziała, co znaczy grać ze złamaną ręką czy wysoką gorączką. Teatr jest wymagający, daje wiele, ale żąda jeszcze więcej. Dlatego nazwała go zakonem.

Zofia Małynicz była ciekawa świata. Lubiła zwiedzać, podróżować. Dla pięknych miejsc, zabytków, muzeów godziła się na wielkie trudy. Kiedyś, by zostać dzień dłużej w Rzymie, przenocowała na dworcu.

Była chrzestną córką prezydenta Mościckiego, mogła w odpowiednim czasie ten fakt wykorzystać: coś przyśpieszyć, zdobyć, barwniej wypaść. Nawet o tym nie pomyślała. Uczciwa i skromna, szła prostą drogą pracy. Nie wdzięczyła się do żadnej władzy, zwłaszcza tej powojennej, antypolskiej.

Urodziła się 8 lipca 1905 roku jako drugie dziecko Felicji z Tyszkowskich i Jakuba Małyniczów. Ojciec był lekarzem, dobrym, charyzmatycznym człowiekiem. Miała dwóch braci. Starszy – Tomasz, prawnik, w 1939 roku został internowany, przeszedł wojnę szlakiem gen. Andersa, potem osiadł w Australii. Zofia odwiedzała go na antypodach, również tam zdobyła wielu przyjaciół. Młodszy brat, Kazimierz, poległ, mając 19 lat w obronie Warszawy. Zofia urodziła się w Zurychu, ale wczesne dzieciństwo spędziła w Kijowie i Warszawie. W 1923 rozpoczęła studia uniwersyteckie – filologię polską i historię sztuki – ale już po roku trafiła pod skrzydła Aleksandra Zelwerowicza w Państwowej Szkole Dramatycznej przy Konserwatorium Muzycznym. Do dyplomu z odznaczeniem doszła pod ręką Stanisławy Wysockiej w 1927 roku.

Pierwsza rola w Teatrze Żywego Słowa „Placówka". W 1929 trafiła do Wilna, do Reduty Osterwy. To nie był zwykły teatr, ale sposób na życie, powołanie. To w Reducie dokonały się „teatralne zakonne obłóczyny" Zofii. W 1934 r. wyjechała do Poznania, gdzie spędziła rok na deskach Teatru Polskiego. W 1935 zaczęła się Jej era w Teatrze Polskim w Warszawie i czas nauczania w Szkole Dramatycznej.

Wojna. Trzeba wszystko zmienić, przyjąć chleb powszedni niepokoju, pogardy i przerażenia. Potem był Pruszków i wywózka na przymusowe roboty. Dzielna jak zwykle nie poddawała się, wspierała innych.

Po wojnie udała się do Krakowa, gdzie rozpoczęła wykłady w Instytucie Iwo Galla. Na przełomie 1947/48 Instytut przenosi się do Warszawy – tu była nie tylko dziekanem wydziału aktorskiego, ale też jako wielka i mądra Małynicz władała duszami adeptów zawodu aktorskiego. Wróciła do Teatru Polskiego na Karasia, by już zostać tam do końca. W 1955 otrzymała tytuł profesora.

W końcu lat 70. pogorszył się stan zdrowia Zofii, ale nie ustawała w działaniach dla ukochanych wierszy i ich twórców. Miała trudności z chodzeniem, zmęczone serce, konieczne stawały się pobyty w klinice, turnusy w Domu Aktora Seniora w Skolimowie. Zlatywaliśmy się do Niej jak do źródła po nadzieję, odjeżdżaliśmy zasmuceni, widząc, jak choroba oddala Ją od nas, od świata, a my prawie nic nie mamy, aby Ją należycie obdarować.

Odeszła 22 stycznia 1988 r. Była słoneczna i śnieżna zima. Powązki tonęły w zaspach. Andrzej Łapicki wspominał Rollisonową, a my żegnaliśmy Wielką Małynicz. Odchodziła wśród tych, którzy Ją kochali. W każdą rocznicę tego dnia siadamy przy stole przy Filareckiej, zwołani po mszy świętej przez Panią Mikę Pelcową. Wspominamy i przez to nasze serdeczne pamiętanie Zofia znowu jest u Siebie.

„Dałem Jej wielkość serca i talentu – rzekł Pan. Przeniosła te skarby najjaśniejszą drogą, mnożąc i siejąc nimi ku chwale".

Jolanta Zaręba-Wronkowska